Rok I. Kraków 1. XII. 1933. Nr 1.

GAZETKA

ORGAN SAMORZĄDU PAŃSTW. GIMN. 358.

C E L E "G A Z E T K I"

Weszło w zwyczaj, że na początku każdego pierwszego numeru pisma umieszcza się artykuł wstępny, programowy. Czytelnicy, którzy mają odwagę i cierpliwość przedrzeć się przez pełne namaszczenia i patosu okresy podobnego artykułu, dowiadują się, że redakcja wie, jak lichym jest numer przez nią stworzony, że ma odwagę wydać go, licząc przedewszystkiem na pobłażliwość czytelników, że zresztą zmusiło ją do tego poczucie obywatelskiego /czy raczej w tym wypadku koleżańskiego/ obowiązku, że w miarę sił i warunków zewnętrznych będzie się starała nieść z godnością to ciężkie brzemię i sądzi, że czytelnicy jej trud i znój ocenią i wiele podobnych fałszywych komunałów. Ponieważ jednak postanowiliśmy w tej gazetce przedewszystkiem unikać fałszu i banału, wszystkie tedy wstępy pominiemy. A jeżeli ktoś czułby się tem pokrzywdzony w tradycją ustanowionych prawach czytelnika, niechże sobie wstawi tu przeczytany kiedykolwiek artykuł wstępny jakiegoś pisemka. Napewno będzie on tak pełny ogólników, że się doskonale nada. A tym wszystkim, którzy nigdy w życiu takiego wstępnego artykułu nie czytali zaręczamy, że nie mają czego żałować.

Zdarza się jednak czasem, że czytelnicy czego innego po pisemku się spodziewają, a pisemko co innego im daje, z czego wynikają zupełnie niepotrzebne sarkania i krytyki. Ażeby więc tych nieporozumień uniknąć, chciałbym krótko Wam przedstawić cel "Gazetki".

Zwiedzając pewnego razu jakąś wystawę fotograficzną zauważyłem jedno zdjęcie przedstawiające jezioro w lesie. Zdjęcie to zainteresowało mnie szczególnie, a to z powodu oryginalnie ujętego przez fotografa tematu. Nie było na nim mianowicie żadnego tła, żadnego otoczenia; wszystko poza wodą było odcięte, lub wyretuszowane. A jednak nie stało się ono przez to monotonne, lub pozbawione treści, przeciwnie, mnie naprzykład zainteresowało najbardziej z całej wystawy. Znać było, że fotografa zajmowało przedewszystkiem jeziorko; to co jest na jego dnie, co się dzieje w jego wodzie, po jego [illegible] pływa. Więc było wprawdzie widać dalej od brzegu podbijane i niebo i drzewa, ale te obrazy były jakieś odległe, nierealne i przedewszystkiem połamane i powyginane stosownie do falowania powierzchni jeziorka. Natomiast muszelki i piasek przy brzegu, ciemna ryba wolno się posuwająca na tle jasnego dna i trzy żółte, duże liście, leżące płasko i nieruchomo na powierzchni wody dużo wyraźniej i realniej wychodziły. Widać było, że fotograf chciał zdjąć przedewszystkiem to dno, tę rybę i te liście, a niebo i drzewa o tyle, tylko, o ile się we wodzie odbijają.



Zaraz też przyszło mi na myśl, że ta fotografja była jakby obrazem naszej "Gazetki" w allegorycznem ujęciu. Bo przecież my nie chcemy nic innego zrobić, tylko tak jak ten fotograf dał obraz wody, dać obraz duszy młodego człowieka. A więc tak, jak tam było widać nie drzewa i niebo, lecz tylko ich odbicia i to pozałamywane przez fale, tak też u nas będą zdarzenia z "Wielkiego Świata" przedstawione o tyle tylko i w takiej postaci, w jakiej się w duszy młodego człowieka odbijają. Głównie zaś zajmować się będziemy nim samym, tem, co na dnie jego duszy spoczywa, tem, co się w jej głębi dzieje.

To też niech się zwróci do pism, których celem jest ich dostarczanie, kto nowin pragnie; a jeżeli u nas nie znajdzie ich /przynajmniej w tej formie, w jakiejby pragnął/ niech nie krytykuje nas odrazu, lecz zastanowi się, czy właściwie szukał. Niech inni fotografują sobie z samolotów całe puszcze, my pozostaniemy przy naszym stawku, a wszystkim ręczymy, że zobaczą rzeczy równie ciekawe, jak tamci z samolotu, choć na mniejszą skalę.

R e d a k c j a

BUDOWNICZOWIE POLSKI

Polska, jako państwo wskrzeszone do niepodległego bytu, jest domem w budowie. Stoi wprawdzie już gmach, ale nie mogą ustawać prace nad wzmacnianiem jego murów i fundamentów. Jest to młoda budowla, jak my jesteśmy młodzi! W tem budowaniu niedługo będziemy brać udział bezpośrednio, tak jak teraz bierzemy udział pośrednio, rozbudowując nasze dusze i umysły. Wyrastamy i narastamy u podwalin społecznego gmachu polskiego, aby go swoim wzrostem wzmocnić. Chcemy, czy nie chcemy, wiemy, czy też nie zdajemy sobie świadomie sprawy z tego; z nami i przez nas rośnie gmach społeczeństwa i państwa w siły należyte, lub te siły te straci, jeżeli nie dbamy o swój rozwój.
Ten stosunek do społeczeństwa musi sobie uświadomić młodzież, która rośnie i dojrzewa, a tembardziej młodzież, która się uczy i kształci, aby zająć kiedyś w społeczeństwie miejsca przodownicze.
Jesteśmy wszyscy - każdy w swoim zakresie - budowniczymi Polski, tem lepszymi, im lepiej zespoliliśmy swoje siły i uświadamiamy sobie cele. W tym względzie jest nam przykładem postać Marszałka Piłsudskiego, który nietylko sam jest Pierwszym Budowniczym państwa polskiego, ale rzucił hasło wyścigu pracy, - pracy nad budowaniem Polski przez wszystkich. I takim samym przykładem postać p. Prezydenta Mościckiego, który zagranicą zdobywszy wiedzę, wzbogaciwszy Szwajcarję Swemi pracami - gdy Polska powstała, tutaj powrócił, aby wielkiemi dziełami, jak Mościce, wzmacniać fundamenty ojczyzny.
Za przykładem tych mężów, jak też i wielu innych, którzy dojrzałe siły i umysły oddają pracy budowania i tworzenia, chcemy iść i my, którzy dopiero wstępujemy w życie.
Chcemy stanąć w szeregu skromnych pracowników koło budowy państwa polskiego.

/m-z/



W O D O S P A D

Masa zielonej wody gładka, twarda prawie
Z rykiem bije o skały i pęka na dwoje.
Lecą do góry białe drobnych kropel roje,
Kryją wodospad cały w srebrzystej kurzawie.

Woda wspina się, gniecie na kamiennej ławie,
Wśród wściekłej walki w dzikie zakręca się zwoje,
Bez sił, sam rozpędem leci przez podwoje,
Na pianach słońce nieci żywe blaski pawie.

Walka bezwzględna, dzika, bez tchu i spocznienia
Ryczy, grzmi z wodospadu schrypniętą gardzielą,
Walka pędu i mocy - wody i kamienia.

Prawie w nicość rozbite już fale się ścielą,
Lecz nie zna granic siła rozpędu strumienia,
Bo przejście zdobywając i głazy rozdziela.

/mp/

D J A B L A K

Głazy, głazy i błękit. - Nic pozatem niema,
Pną się ku górze w dzikim nieładzie kamienie,
Nad niemi jasny błękit, pusty nieskończenie,
Ledwie wzrok na kosówce czasem się zatrzyma.

Miasto tu niegdyś stało czarta czy olbrzyma,
W które wniósł piorun Boży straszliwe zniszczenie,
Głazy, drzazgi pokryły olbrzymie przestrzenie,
Fala głazów się prawie do niebiosów wzdyma.

Poryte piorunami, deszczem zmyte skały
Teraz złociste słońca promienie oblały;
Las nie zatętni życiem martwy już, zwietrzały.

Chłodny wiater szczytowy po głazach przelata
I prawie chłód panuje wśród skwarnego lata,
Pustka i chłód - zwyczajna dola szczytów świata.

/mp/

W S P O M N I E N I A   S I Ó D M O K L A S I S T Y

Wy młodzi nie zdajecie sobie sprawy, jak słodkie są wspomnienia młodości. Wy nie możecie odczuć, jak miło jest sędziwemu siódmoklasiście odrzucić na chwilę Apologję, czy układ kinetyczny i zanurzyć się w błękitnej mgle dawnych złotych czasów. Jak tęskno i błogo się robi na duszy, gdy między brykami, fotografjami znajomych panien i innemi przynależnościami wieku dojrzałego - znajdzie się przypadkiem jakiś zżółkniały z starości świstek, który jednak niesie z sobą odświeżającą atmosferę błogich czasów bójek młodzieńczych.

Każde państwo ma swój "złoty okres". Nasza klasa miała go również. Mianowicie wtedy, gdy była klasą IIIa. Nie wiem jednak, czy można powiedzieć, że to była nasza klasa. Przy obliczaniu przekonałem się, że z członków klasy IIIa, a przynajmniej członków nadających pewien ton klasie, mniejsza zaledwie część chodzi do VIIa, chociaż według wszelkich praw boskich i szkolnych wszystkie te twarze powinienbym, pisząc te słowa naokoło siebie widzieć /z wyjątkiem naturalnie tych, którzy dziś są w szkole nieobecni/. Stosunek tych dwóch klas przypomina żywo stosunek przedstawiony w pewnej noweli, czytanej przez kol. Gąssowskiego na grece p. t. "Gdy byłem osłem".

Nie we wszystkiem jednak państwo przypomina naszą klasę. W państwie przeważnie złoty okres przypada na rządy silnej ręki, u nas natomiast panowała wtedy wspaniała anarchja. Ponieważ jednak niema żadnej rzeczy, gdzieby nie można było znaleźć jakiegoś porządku, jak tego dowiódł prof. Sinko, pisząc dyspozycję "De amicitia" Cicerona, więc też i naszą klasę podzielić było można na kilka partyj. Gdy jednak będę Wam je po kolei przedstawiał pamiętajcie, że miały one jedną cechę wspólną z gramatyką angielską /jak wiadomo w gramatyce angielskiej każda reguła ma to do siebie, że więcej jest wyjątków, niż słów stosujących się do niej, to samo zresztą zauważyć można często i w grece/. Przy powstaniu więc jakiejkolwiek partji w naszej klasie, zyskiwała ona odrazu więcej wrogów, niż członków.

Najpierw więc powstała partja czerwonoskórych. Stało się to pod wpływem powieści May'a. Wodzem tej partji był kol. Hołuj. Członkowie zbierali się, zbrojni w drewniane noże i tomahawki w domach rodziców któregoś z czerwonoskórych i tłukli się tam, aż miło wspomnieć. To samo robili zresztą i w szkole, ale tam to tak nie wychodziło.



W szkole bowiem tłukli się wszyscy. Ja naprzykład przez cały pierwszy i część drugiego okresu III-ciej klasy nie przyszedłem ani raz do domu, mając garderobę w porządku.

Na upadek klubu czerwonoskórych złożyło się dużo przyczyn. Przedewszystkiem, jak młodsi koledzy wiedzą napewno, a i starsi prawdopodobnie pamiętają, cykl powieści Maya p. t. "Ród Rodriganda" ma wprawdzie 20 tomów, jednak jak wiadomo wszystko ma swój koniec /przysłowie mówi wprawdzie, że dwa, ale to niestwierdzone, zresztą przysłowia przeważnie kłamią/. No, ale wróćmy do naszego końca. Wprawdzie więc "Ród Rodriganda" ma 20 tomów, a w klasie były go wszystkiego 3 egzemplarze, z których jednemu początku, a drugiemu środka brakowało, amatorów zaś na tę książkę było 15, jednak, jak wiadomo w szkole siedzi się 5 godzin, a przez ten czas dużo można wyczytać, więc też i to dzieło wreszcie przeczytano. Że zaś w młodości pamięć krótka /wbrew temu, o czem zapewniają pp. profesorowie języków/, więc też i zapomniano. Nadto, jak już wspomniałem, członków w związku było 15, do bójek więc popołudniowych mieli tylko 15 domów. Chyba zaś jest samo przez się zrozumiałe, że w domu, w którym choć raz odbyło się zebranie klubu czerwonoskórych ze wszystkiemi swemi nieuchronnemi skutkami/, jak n. p. wybijano szyby, porozbijano lampy i obrazy, połamane krzesła i t. p./ już nigdy więcej nie przyjmowano nietylko klubu, jako takiego, ale nawet żadnego z członków, ba, nawet poważne waśnie rodzinne często z tego powstawały. Bić się zaś tylko pół dnia, w szkole, to było dla krwiożerczych indjan bezwzględnie zamało. Nadto w klasie zaczynała się budzić potrzeba walki już nietylko na noże, ale i na słowa.

Tej potrzebie zadośćuczynił założony przez kol. Plezię związek bonapartystów. On sam przybrał tytuł Napoleona, a wszystkich swych stronników mianował marszałkami Francji. Związek ten miał też inne sposoby walki, mianowicie walkę na tomahawki zastąpił walką na szpady. Walka to zbyt



popularna,bym tu jej opis miał dawać. Niektóre też miejsca /jak n.p.między drzewem a rozebranym już barakiem,lub w ogrodzie na pagórku były pod nazwą twierdz równie zacięcie bronione jak zdobywane. Największym trjumfem koalicji było,jeśli udało jej się zamknąć kol.Plezię na całą pauzę, a czasem i na część godziny w tym,rozebranym już dzisiaj,baraku. Naturalnie indywidua,wracające po pauzie do klasy z włosem w nieładzie, a szatami w strzępach, przypominały raczej upiorów,niż ludzi.

Nietylko jednak na szpady walczono wtedy.Jak wiadomo w III-ciej klasie dawnego typu były w programie przewidziane zadania polskie domowe lub też szkolne na najróżnorodniejsze tematy. Ręczę Wam jednak,że niema takiego tematu,w którym nie dałoby się umieścić złośliwej wzmianki pod adresem przeciwnika.Że zaś te zadania były następnie przez autorów na lekcjach głośno czytane i często na jednej lekcji kilku członków różnych partyj zadania swe czytało, mogę Was zapewnić, że bardzo urozmaicone były to lekcje. Ponieważ to działo się w naszej klasie,więc zupełnie jest jasnem,że nasz Napoleon i w tem był podobny do swego francuskiego poprzednika,że dużo więcej,niż zwolenników,miał wrogów, którzy przyjmowali tytuły władców państw ościennych.Jednakże pod względem sprytu w zawieraniu przymierzy,nasz Napoleon,przeszedł bezwzględnie tego z Korsyki. Nierzadkim był wypadek,że wczorajszy król angielski był dzisiaj marszałkiem Neyem,a jutro prezydentem USA.

Bardzo popularną formą toczenia walki i zawierania układów było pisanie ulotek,oraz listów otwartych i nieotwartych.Nie przybrało ono jeszcze tych rozmiarów,co w następnej epoce,triumwiratu, lecz stawało się coraz popularniejsze. Szczęśliwie zachowało się kilka dokumentów z tych czasów,dokumentów,których zdobycie niejeden kłak wyrwany kosztowało. Z nich jeden,mojem zdaniem najciekawszy, pozwolę sobie tu w dosłownem brzmieniu przytoczyć./Dokument ten jest autentyczny i mogę go na żądanie okazać/.Pochodzi on z epoki walki wielkiej jeszcze partji czerwonoskórych z coraz bardziej rosnącą w siły partją napoleońską.

Do p.t./sic p.red/ Hołuja.

"Wczoraj rzuciłeś mi rękawicę.Wojny chcesz,mieć ją będziesz.Lecz nie chcę,by między największemi stronnictwami klasy była wojna.Tej ostatniej się nie lękam,bo z siłami,jakiemi rozporządzam mogę się bić śmiało. Zaczynasz sam,ryzykując na niepewne,możesz oberwać.Po kiej licha chciałeś tej kartki,jeżeli znowu wypowiadaż wojnę? Oszukaliście się. Proponuję wam pokój nie z tchórzostwa,lecz dla zgody między dwoma stronnictwami klasy.

Warunki:

a/Ukaranie Heydy za kradzież papierów;

b/dostarczenie mi /ewentualnie ja wam/ w razie potrzeby wojsk;

c/ obie strony zrywają z wza-

jemnymi wrogami.
Na tych warunkach ofiaruję pokój zawsze.Wybieraj!

Napoleon,cesarz

P.S.Proszę o rozsądną i szybką odpowiedź."

Jak wszyscy jednak wiemy,bójki na pauzach,które jako skutek pociągały za sobą niszczenie ubrań,częste spaźnianie się na lekcje,a także zupełną niezdolność do skupienia uwagi na godzinach, nie cieszyły się na skutek tego popularnością u pp.profesorów. Zarówno więc ich wpływowi,jak i coraz większemu wyrobieniu pisarskiemu,które powodowało przerzucenie się od walki na szpady do walk na pióra przypisać należy upadek partji napoleońskiej.

Że zaś czytaliśmy wtedy Cezara, i ta postać wypierała coraz bardziej co do popularności Napoleona,został więc zawiązany triumwirat.

Triumwirat posiada znaczenie raczej negatywne,niż pozytywne. Sam bowiem triumwirat,nie mający żadnych wyraźnych celów,nie rozwinął prawie żadnej działalności.Natomiast przeciwko triumwiratowi został zawiązany Związek Czarnej Rady, którego członkowie zasypali klasę całą masą najróżnorodniejszych pism. Szczęśliwym trafem zachowało się kilka sztuk z których dwie tu przytoczę.Są one autentyczne i na żądanie mogę je pokazać.

Pewnego dnia naprzykład,zauważyliśmy przybitą na tablicy następującą klepsydrę:

ś.p. pamięci
MARJAN PLEZIA
wice-rabin Kłaja.Zmarł na przewrót żołądka.Na ten smutny obrzęd zapraszają cztery garbate żony i małe syny. zakł.p.CONCORDIA.

Smutnym obrzędem chciał zapewne kol. Kruczkowski,autor tej klepsydry nazywać pogrzeb, a nie "przewrót żołądka" u kol.Plezi.

Nie sądźcie jednak,że stosowanie tak strasznych metod walki wykluczało rokowania pokojowe.Wcale nie! Dowodem tego może być list kol.K. do kol.P.

Kruczkowski do Plezi.

Po wczorajszym zamachu piszę do ciebie list z paru tylko słów sklecony.Może dlatego,że jesteś mi wrogiem, a ja twoim przyjacielem,może dlatego,byś - przed czasem nie krzyknął: "Peractum est".Nie piszę warunków pokojowych , lecz propozycje do ich nawiązania.Czynię to tylko dlatego,aby uniknąć walki klasowej i nie być powodem anarchji w klasie. Jeszcze dwa pytania:" Czy sprawę tej klepsydry traktujesz serjo? Dlaczego nazwałeś mnie komunistą?

Proszę Cię odpisz.

Prezes Czarnej Rady
Kruczkowski Bolesław

Te i tym podobne klepsydry,ulotki i listy wprowadziły do klasy ostateczne rozindyczenie i rozbicie; tak,że pp.profesorowie poważnie zaczęli mieć tego dosyć.Ówczesny nasz gospodarz klasy zastąpił wszystkie nasze organizacje przez gminę. Raz jednak jeszcze zerwał się niepodległy,niezależny,buntowniczy duch naszej klasy do walki,wybuchła rewolucja przeciw zarządowi gminy,dawny wójt został strącony,a obrany nowy.Była to jednak przedśmiertna drgawka swego ducha. Następnie przyszedł okres mutacji,dojrzewania,połączony ze zupełną zmianą zainteresowań.Skład profesorów został zupełnie zmieniony,nowi pp.profesorowie spowodowali pozostanie w klasie, a nawet opuszczenie gimn. przez wielu, w każdym razie wybitnych kolegów. W klasie VI. dawna kl.Va i Vb. wskutek małej ilości uczniów zostały ze sobą połączone. A po okresie mutacji przyszły panny,tańce,sporty, nauka i tylko czasem,gdy przy grzebaniu w starych szpargałach, ręka natrafi przypadkiem na jakiś zbiór pamiątek z klasy III-ciej , przed oczyma siódmaka przesunie się obraz złotego okresu ostatnich lat chłopięcych,które już nigdy,nigdy nie wrócą.

/jurk./

S P R A W A   G R A M O F O N U



Prosta płyt na korytarzu była niepewna.Każda czarna płyta w szeregu białych rozbrzuszyła się w niepokojący węzeł.Oko zbijało się na czarnym kwadracie i zatrzymywało:Wiele traciła na tem nieomylność szkolnego korytarza.

Stał z numerem na ramieniu, przepisowo.

Kto ?

Jeden z wielu zestandaryzowanych , umundurowanych na świecąco,zwyczajny uczniak.

Wpatrywał się w ruchomy punkt.Był nastawiony na ten jeden szczegół,wszystko pozatem stanowiło tło..dziwnie - niebieskie.

Był to kwadrat.

Kwadrat ust w uśmiechu.

-"Chcesz się rzucić ze schodów ?" -

-"Nie"-

Pytanie było niepotrzebne.Pan Antoni spostrzegł to zaraz. Takie nic nie mówiące i śmieszne.

Tak jak co ?

Szukając przenośni Antoni szedł schodami nadół. Ciągle nadół.Schód po schodzie.Ostry i kanciasty.

Antoś zaśmiał się.

Jak ta historja z poczciwym Mikołajem.Wyobrażał sobie,jak to będzie opowiadał Tadek.Swoim zwyczajem zabarwi wszystko na czerwono i krwisto.Pełno będzie wielkości, nieskończoności,kontrastów.Pełno symboli.

- - - - - - - - - - - - - - - - - -

Pan Mikołaj siedział przy stole. Stanowczy,duży nos wyrażał niezadowolenie.Raczej niezdecydowanie.Trzymał w ręce łyżeczkę cukru i ważył ją,wodząc wielkim palcem,jak wskazówką.

Bo z drobnostek składa się życie. Wiedział o tem.Wszak był dojrzałym człowiekiem.

Zdawało mu się zbyt dużo.

Chyba za dużo.

Od dziesięciu lat oczy pozwalały mu odmierzyć tylko tę samą liczbę ziarenek.

Właśnie dziesięć lat temu trafił na właściwą miarę.Pił najlepszą kawę w życiu.

Strzepnął na niebiesko-kwiecisty obrus parę ziarenek. Rozsypały się z niedosłyszalnym szmerem i ułożyły we wzorek. Zawsze Mikołaj wysnuwał wróżbę z tych układanek.Dzisiaj nie.

Dzisiaj było dla niego 20 listopada 1923 roku.

Przed dziesięciu laty.

Oczy głęboko wciśnięte,wtłoczyły się jeszcze bardziej do mózgu. Powoli , z namysłem spuścił powieki.Głowa wyglądała jak bryła krzemienia. Spalona przez dniestrowe słońce. Tylko nos miał zbyteczny kształt,chyba wskazówki na słonecznym zegarze.

Przed dziesięciu laty pił herbatę na przyjęciu pożegnalnem dla przyjaciół.Wyjeżdżał wtedy het,do kresowego miasteczka. Na dziesięć lat. Wtedy tak dalekie,dziś wydawało mu się bliziutkie. Byłoby mu bliższe , niż ten poczciwy,stary Kraków,gdyby nie pokój,w którym przechowywał swoje meble.

Stać go było na to.

W rogu,przykryty żółtą ceratką, leżał gramofon z ulepszonym motorkiem,owoc 3650 wolnych wieczorów.

Myśl,że ulepszył wynalazek napełniała go prawie że szczęściem. Było to głęboko ludzkie zadowolenie z poprawiania swoich bliźnich.

Zaprosi więc przyjaciół i urządzi pokaz.Wprost koncert.

-"Maryniu,jutro będą goście na kawie" -

-"Kto przyjdzie ?" -

Mikołaj nic nie odpowiedział.Cóż bowiem miał zrobić,jeżeli służąca postawiła niestosowne pytanie.?

- -

Strasznie prędko przyskoczyłem do drzwi.Uderzyłem całą pięścią w dzwonek raz i drugi.

Kroki,kroki... Wydały mi się zwolnione,wystukiwane w takt żałobnego marsza.

A ja nie lubię czekać.

W lustrze naprzeciw oszklonych drzwi ukazał się.Mikołaj w rudopomidorowem ubraniu.Gdzie ten człowiek ma gust ?

Odrazu uderzył mnie niemiło zagadkowy,czerwony odcień na jego twarzy.Do policzków szczególnie przylgnęła dziwna,mahoniowa barwa.

Miałem złe przeczucie.

Po tak długiem niewidzeniu należało Mikołaja cmoknąć w wąs. Zre-

biłem to.

A...może on wogóle niema wąsa? Ale to nie należy do rzeczy.

Kawa była wcale znośna.Tylko to niesłychanie długie odmierzanie cukru Mikołaja rozdrażniło mnie do reszty.Jestem ostatnio okropnie zdenerwowany.Do szaleństwa.

Wytknąłem mu to.Zbył moją uwagę wyrażeniem własnego sądu.On zawsze wie lepiej.Wogóle zacofany człowiek.Ma pomysły z przed dziesięciu lat.

Ja już nie mogłem wysiedzieć. Wzrok mój ciągle zahaczał o czerwoną ceratę w rogu pokoju.Było pod nią coś irytująco wielkiego.

Miałem złe przeczucie.

I rzeczywiście.

Kochany Mikołaj z grobową miną dorosłego człowieka podszedł do ceratki. Wielką i sztywną ręką zsunął ją powoli. Miałem nadzieję,że wreszcie zginie ta niepokojąca czerwień.

Ale pod ceratą był gramofon. Nawet to mię już nie zdziwiło.Tylko olbrzymia tuba aż kapała krwią.

Miałem złe przeczucie.

Byłem tak zapatrzony,że nie słyszałem nic.A Mikołaj widocznie miał długą przemowę,kołysząc palcem nad stołem w tę i ową stronę.

Przekręcił rączkę i gramofon zaczął pojękiwać:

"Titina,ach,Titina..."

Co dalej się stało ?

Wprost mówić niemiło...

Kiedy wybiegłem na ulicę,słyszałem rytmiczną,nowoczesną muzykę.

Śmiałem się.

Ale już nie tak głośno,jak przedtem z zacofanego Mikołaja.

- -

/aka./

A co myślał pan Mikołaj ?
Nie wiem.
Nigdy nie siedziałem w panu Mikołaju.

„B I B A   P O M A T U R A L N A "

Zawsze byłem wyrodkiem.Od kołyski, Gdy zacząłem nazywać się gimnazjalistą,to owe wypominane mi "wyrodzenie się" doszły do zenitu."W kogoś się ty wdał"! - biadano nademną w domu, a w szkole często spotykało mnie "Rodzice porządni,a tyś taki leń". Nawet pogodziłem się z tym faktem...

Jednak kiedyś olśniło mnie coś.Rzecz poważna,okropna! Mianowicie doszedłem do wniosku,że takich wyrodków jest więcej! Jest nim Staszek,Maniek i wogóle cała klasa...

Zaczęło się to od cioci Mani. Ciocia chce koniecznie,abym został proboszczem i przez całe życie odprawiał nabożeństwa za wuja Stefana. Pomimo to ciocia Mania jest strasznie miła. Gdy przychodzę czasem do niej i otwieram zbolałe i podwójnie złamane /greka , łacina/ serce,ciocia się zawsze oburza na mnie.- Ach! Jak ty możesz narzekać na gimnazjum!Szkoła,to taka cudowna rzecz! Tyle pięknych chwil w niej przeżyliśmy wszyscy !!

Kochana ciociu! Ja pewnie wyniosę ze szkoły wspomnienie jednej tylko pięknej chwili,która, nawiasem mówiąc,jeszcze nie nadeszła,ale którą będzie pomaturalna "biba".Zapytałem o to Staszka.On mówi to samo:-Po maturze,urżniemy się "na trupa".-Prawdę mówisz ?-spytałem.- "Pod hajrem".-

Wierzę mu.Gdy Staszek powie coś - "pod hajrem" to już jest "pe"...Tak samo mówił niedawno o łacinie:-" Ja już na łacinę więcej nie przyjdę ! Pod hajrem".No i jak ciocię Manię kocham,na łacinę nie chodzi.Profesor grozi mu /zaocznie/,że "on go jeszcze dopadnie" tego "fliegender holendra",ale Staszek nic, i dalej na ła-



cinie siedzi w portjerce. Tak samo zaklinał się Maniek, Zulu i Proso. - Wszyscy po maturze idą się urżnąć "na trupa". Ucieszyło mnie to. Nietylko ja, ale i oni! I właśnie na tem tle wybuchła awantura. Wczoraj ciocia Mania spytała mnie, co zrobię po maturze? Myślałem właśnie o tej "bibie" więc wypaliłem: "Pójdę ze Staszkiem urżnąć się "na trupa". - Jezus! Marja! Dziecko, co ty mówisz! Jak możesz! Urz...na tru...Jezusie! co on plecie!" - i poleciała z tem do ojca. Ojciec się nie przejmował znów tak bardzo. Zaczął ciocię uspokajać :- Uspokój się Maniu. On już taki. Całkiem mu się nie dziwię. Tylko to mię dziwi, w kogo on się wdał? Czy ja jestem pijak, czy ja nie byłem pierwszym uczniem w klasie? Nic się nie uczy, dwóje zbiera, więc naturalnie maturę traktuje jak zrzucenie kajdan, jak ucieczkę z mordowni jakiejś. I to ucieczkę wprost do szynku ! Ślicznie ! Niema co mówić! Ładne ziółko z ciebie wyrośnie. Jakieś głupstwa mu w głowie, tylko czyta Boy'a i urządza se w pokoju dyskusje z kolegami na ten temat! Tfu! Ja kłóciłem się na temat słówek greckich!

Tak się zawsze zaczyna. Naprzód mówi ojciec, potem mówić zaczynam ja, ale tato nigdy nie chce słuchać i wylatuje z pokoju. I to ma być dyskusja ?! Na pobojowisku została tylko ciocia. "Jesteś zły chłopiec " - szepnęła mi - "będę się modliła, żebyś się poprawił..."

I wyszła...To ci dopiero chryja ! Przez to głupie urżnięcie się na trupa, o mało się nie rozpłakała!...I w rezultacie nie pójdę jutro na zabawę. Staszek będzie, Maniek będzie, a ja zostanę w domu. A niech to grom jasna!!

Właściwie ta zabawa to głupstwo , ale ciocia Mania miała łzy w oczach. I napewno będzie się za mnie modliła. Czy ja naprawdę jestem taki zły? Czy to naprawdę jest taka zbrodnia, że chcę po maturze urżnąć się, że chcę potem w kapeluszu pójść na C-D i zapalić papierosa? Czy to naprawdę jest taka zbrodnia, że bardziej interesuje mnie Boy, niż Horacy ? Przecież cała nasza klasa tak samo czuje! Wszyscy teraz przed maturą mówią o bibie. Więcej nawet o bibie, niż o maturze.

Najlepiejby było, gdybym wszystko cioci wytłumaczył. Ale ona mnie nie zrozumie. Czy zrozumie mnie, gdy jej powiem, co myślę o lenistwie tej młodzieży, co myślę o gimnazjum, lub o maturze ? Nie! Ona mi nie uwierzy! Ciocia jest jakaś inna...Tato też mnie nie rozumie często. Obydwoje nazywają zbrodniami rzeczy, które ja uważam za zupełnie naturalne.- Coby naprzykład tato powiedział , gdyby wiedział, że palę papierosy , że chodzę prawie codziennie do kina i że mam randki z Zosią ? Jej! Coby to była za awantura! Więc co robić? Czy iść do cioci i powiedzieć, że żartowałem i że na bibę nie pójdę ? Przecież ta wizja ponaturalnej "biby " jest taka rozkoszna . . .

/[illegible]-k/

C Z A R N Y   K O T



1. Tak, wszystkiem winien był ten czarny kot ! Bolek długo nie chciał w to wierzyć, ale wreszcie przekonał się niezbicie. Jak tylko przeszedł mu drogę, zawsze musiało go coś złego spotkać. I ktoby pomyślał! Taki niepozorny kot !

Mieszkał na ulicy obok, u jednej starszej panny i lubił wygrzewać się na oknie do słońca. Był czarny, puszysty i giętki. Bolek zawsze miał do niego sympatję, nie podejrzywając zażartego, złośliwego nieprzyjaciela ! Aż tu pech chciał, że przed dwoma miesiącami. . .

2. Bo naprawdę to trudno inaczej wyjaśnić. To tylko kot. Kot jest kluczem zagadki, nieznaną wartością, którą należy podstawić w ów dziwny splot wypadków, a wszystko będzie zrozumiałe. Taki zwykły, czarny, staropanieński kot No !

Bo biorąc rzecz od początku. Od owej fatalnej historji z przed 2 miesięcy. Był przecież wtedy dobrze przygotowany. Co to przygotowany! Obkuty !

A tu pech, czy czarny kot chciał, że na 130 /fakt autentyczny p.red. / stron historji średniowiecznej / powtórka od upadku państwa rzymskiego /, /476, no proszę! jeszcze dzisiaj pamięta/ do wojen krzyżowych profesor zapytał go w sam raz z ostatniej lekcji! Z o s t a t n i e j lekcji! A któż się tego mógł spodziewać ? - Przecież sam nieomylny Penkalski, co każdemu na milimetr umiał przepowiedzieć, z czego będzie pytany i nigdy się nie omylił, jemu zapowiedział Karola W. Wtedy po raz pierwszy, kiedy szedł do szkoły, przeszedł mu drogę kot. . .

No i naturalnie był wykazany na konferencji. W domu było o to awantura. Usłyszała o tem ich stara służąca, jeszcze niańka Bolka. Ona była stanowczo po stronie swego pupilka i dwóję tłumaczyła "zalęknięciem się", niechęcią profesora i t.p. Matka była innego zdania. Bolek chciał się wykręcić od bury, chciał wszystko w żart obrócić, więc wspomniał o kocie, że mu przeszedł drogę... Wtedy zaraz przerwała mu Kasia, otwierając wrota niepohamowanej elokwencji. "Miałam rację, widzi Pani. Jakże mógł biedaczek umieć, jeżeli mu kot przeszedł drogę". Koncept się udał. Mama z Kasią zaczęły się kłócić /o kota/, a Bolek się wymknął do pływalni. Ale myśl o historji nie dawała mu spokoju. Trochę mu było wstyd i nieprzyjemnie przed matką, tembardziej, że profesor zapowiedział, że jeżeli nie zda całości materjału, to na koniec roku dwója oblewana. Całość !!! 300 stron /fakt autentyczny, p.zecera/. Lepiej sobie odrazu uwiązać u szyi...i to za niecałe dwa miesiące.

Z burzliwych myśli wynurzył się - czarny kot. Nieduży, zgrabny, z czerwonym językiem. Ech, śmieszne, ażeby on... Choć mówią, że Kusociński, nim naciągnął nogę na Olimpjadzie też...Albo on sam na zawodach w skokach, kiedy się to tak fatalnie rozbił i przez to nie wziął pierwszej nagrody...Także mu wtedy na drodze stanął czarny kot...Czarny kot.

Aż przyszła katastrofa. Poprzedniego dnia, w niedzielę, był na interesującym meczu i dlatego tylko nie nauczył się dokładnie wojny stuletniej! No, ale któż się mógł spodziewać ! Grom z jasnego nieba! Miesiąc przed konferencją! Ale on już coś przeczuwał od rana. Tylko, że w szkole nie było czasu zajrzeć do książki. Bo drogę przeszedł mu czarny kot.

Był przekonany. Parę dni potem miał okropny sen. Śniło mu się, że jest koniec roku, rozdanie świadectw. Tylko, że w miejsce gospodarza klasy, rozdaje je historyk. Z szyderczym uśmiechem wręcza Bolkowi papier. Od góry do dołu same dwóje! Ratunku! Bolek podnosi przerażone oczy i zamiast historyka widzi na katedrze czarnego kota...

Zaczęło się wkuwanie gwałtowne, zaciekłe, bez chwili przerwy od rana do nocy. Aż wreszcie, obznajomiony dokładnie z dziejami Europy od r.476 do 1492 ruszył Bolek do szkoły. Ciarki po nim chodziły, gdy pomyślał o pytaniu. Bezmyślnie rozglądał się po niebie jasnem, bezbarwnem, gorącem, czerwcowem niebie .



Wtem spojrzał pod nogi...Kot!!Kot biegnie ku niemu,przeleci mu drogę!..Zleje,jak amen w pacierzu...Ludzie,zatrzymajcie kota! ...Bolek schylił się nagle i chwycił wroga,nim zdołał przelecieć mu przed nosem. Wpakował go mimo oporu do teczki i w parę minut był w szkole. Kot wsadzony pokryjomu pod ławkę i podstępnie głaskany,żeby cicho siedział,uspokoił się i usnął rozkosznie.

Wtem spytano Bolka.Poderwał się zlany potem.Przez 5 minut terkotał jak katarynka o wojnach krzyżowych /kot mu nie przeszedł drogi/,ale stanął na walce cesarstwa z papiestwem i ani,ani,.. Ciemno...pustka...Pulsa w skronie biją jak młoty.W ustach sucho.Profesor dziwnie się marszczy. W klasie podnoszą się chichoty...Małpy,nie koledzy! Pora na śmieszki ! Co to ? Profesor zaczyna się śmiać na [illegible] przed Bolkiem przeciąga się [illegible] kot !

Skąd-eś wziął kota ? - Bolek rozgląda się nieprzytomny i w przystępie dziwnej szczerości zaczyna opowiadać wszystko. O pechu,związanym z kotem,o swoich obawach,dlaczego wziął tu kota.- Dlaczego te orangutangi tak ryczą? Co w tem dziwnego? Ale nagle pierwsze ciche uderzenie,potem głośne. Dzwonek!

- - - - - - - - - - - - - - - - -

Chłopcy wylecieli na pauzę,ale Bolek stał osłupiały.Trącano go,gratulowano "w imieniu kahału",cieszono się kotem,lecz on nie odpowiadał.

-Czy mi ten kot szczęście właściwie, czy nieszczęście przynosi ?...

/m.p./

Z A S Ł O N E C Z N I O N Y

"Złocisto oszalały...bosko,cudnie piękny,zasłoneczniony...

Czem! psia...zasłoneczniony,zaaasłoneczniony! O do djabła z tym wierszem! Nie potrafię napisać,czy co ?

Mówiąc to Mietek,więcej szeroki, niż wysoki gimnazjalista łamał sobie głowę i...stalówkę,wbijając ją / stalówkę,nie głowę/ w naruszoną wierszem kartkę.

- Pójdę chyba do Staszka,ten pewno powie mi,jak napisać ten wiersz.

- Mietek!O serwus!Coś taki zaaferowany? -

- O tak,tak!Zasłoneczniony...zasłoneczniony...-

- Co?!co? zas...zasłone... -

- Możesz takiej głupiej miny nie robić.Widzisz mam kłopot,bo...zasłoneczniony...bo widzisz...ta blondynka ... zasłoneczniony,zasłoneczniony...

- Jaka blondynka zasłoneczniona?!-

- Ale nie blondynka zasłoneczniona, tylko Jadźka,no ta...Urszulanka -

- Aha !

- No widzisz ! Chciałem,to jest prosiła mnie,..Miałem napisać jej wiersz, ale...

- Co ale ? -

- Poczekaj! Wiesz co,mam Asnyka.Odwal i podpisz się.

Mietek poleciał do domu.Z wywieszonym ze wzruszenia językiem odpisał całe 5 zwrotek Asnyka na różowym papierze, dodał...własny podpis ...I posłał.

A S N Y K

Na drugi dzień dostał przez stróżkę, której szwagrowa sprzątała u pewnej pani,do której przychodziła na lekcje - siostra cioteczna panienki,u której mieszkała koleżanka tej właśnie Jadźki list na kartce papieru,pachnącego jeszcze łaciną /z drugiej strony słówka /.

Panie Miecz /kropka-Red./

Wypraszam sobie na drugi raz takie wierszowanie.To jest więcej,niż bezczelność pisać takie idjotyczne bzdurstwa...to nie są wogóle wiersze. Dziwię się,że pan /małe p.-Red./ inteligentny gimnazjalista może coś takiego napisać. Jadź.

Brr.Ale epistuła.Ale Mietek do serca sobie tego nie wziął.- Ja się Asnyk nie nazywam /N.b. w liście było 6 byków ortograficznych,3 podkreślenia,- 2 ciężkie obrażenia osobiste i jeden mały "pan".

- - -

Za parę dni tąż samą pocztą dostała Jadźka list:

Bardzo przepraszam stop pomyłka adresatów stop list skierować do asnyka stop wyprowadził się bez podania adresu.

mietek

/h-j /

Wyższy świat ma lepszy t o n, bo lepiej jest strojony.

- - -

Pewien literat przespał się smacznie na dwóch tylko literach,na k na p.

Żywego człowieka w pole wyprowadzić jest oszukaństwem,zmarłego zasługą.

- - p

Chińczykowie dziwią się,że ich poważna herbata bywa zagranicą tańcującą.

C H I Ń S K A   E D U K A C J A

Mały Chińczyk Czu-Li urodził się nad średniej wielkości rzeką Lo-Ho, w miasteczku Tung-Czou, niedaleko więc miejsca, gdzie wlewała się ona do ogromnej jak morze Hoang-Ho, wiecznie mętnej i brudnej.

Mały Czu-Li wiedział, że Hoang-Ho wypływa gdzieś w niebotycznych górach świętego Tybetu, a uchodzi gdzieś daleko do niezmierzonych odmętów potężnego oceanu. Ale oprócz tego niedużo wiedział mały Czu-Li.

Codziennie wstając widział poszarpane wzgórza Taj-Kang-Szan na wschodzie, na zachodzie zaś pasma schodzących ku rzece gór z łańcuchów świętego Tybetu. Na tle wiecznie niebieszczących się w mgle gór, czerwieniły się pochyłe dachy pagód i rysowały się mocną zielenią potężne dęby i powykręcane od strony wiatru mandżurskiego sosny

To był świat, w którym urodził się i wychować się miał Czu-Li. Co było za okrągłą linją horyzontu słyszał tylko z opowiadań i bajek. Wiecznie jednak intrygowało go to, zaciekawiało i gdy o tem myślał napawała go jakaś nieznana i nieuzasadniona tęsknota.

Czu-Li był synem szanownego wielce i czczonego Czu-Szang i jako członek kasty najwyższej, uczonych i urzędników, którzy jak i w wielu innych krajach patrzyli zgóry na ludzi robiących drewniane sandały, albo tkających wzorzyste kaftany. To już jest zwyczajem ludzi mających pewne, mniej czy więcej uzasadnione pretensje do inteligencji, że z ludźmi warstw niższych nie zamieniają słów więcej, niż koniecznie potrzeba. Temu poglądowi ulegał także mały Czu-Li, bo wszakże nie każdy ojciec, tak jak jego ojciec złożył egzaminy bardzo liczne i bardzo trudne i ubiegał się o tytuł mandaryna.

Dlatego też Czu-Li, syn uczonego Czu-Szanga wysoko podnosił swą małą główkę przechodząc przez wąskie i kręte uliczki miasteczka Tung-Czau.

Ale gdy skończył lat 5 przekonał się że ten zaszczyt nie pozostaje bez obowiązków. Poprowadzono go do nauczyciela wielce szanownego i czcigodnego, a mianowicie Lu-Lianga, męża uczonego i zacnego. Ten kazał mu się nauczyć wiersza bardzo mądrego i zawiłego z "czterech ksiąg Seszu, napisanych przez filosofa wielkiego i sławnego Kung-Tse / Konfucjusza/. Wierszy, ani myśli mały Czu-Li wcale nie rozumiał, ale nauczyć się napamięć musiał. Nieocenioną przysługę oddała przy tem długa, bambusowa trzcina, którą mądry i czcigodny nauczyciel Hu-Liang wybijał takt i akcenty jakichś niezrozumiałych, starożytnych wyrazów, układających się w piękne okresy. Uważał on bowiem, że nauka najłatwiej wchodzi do głowy okrężną nieco drogą, a mianowicie przez pięty. To też piekący ból w stopach nie pozwalał malcowi wogóle chodzić, nim się czegokolwiek nauczył. Miało to jednak ten dobry skutek, że z konieczności musiał się uczyć jeszcze więcej. I to jest dowód wyższości starej chińskiej mądrości nad kuglarską nauką europejczyków. U nich bowiem uczeń zbity musi z konieczności stać, albo leżeć, a te pozycje



są przecie do nauki ogromnie niewygodne.

Teraz więc nasz mały skazaniec siedział skulony pod lawiną słów, które mu Hu-Liang dyktował, a które musiał napisać. Po wykaligrafowaniu paru zdań bez sensu, nauczyciel rzucił okiem na zapisaną tabliczkę i, po odmierzeniu uczniowi sporej dozy bambusów, przeszedł do dalszej lekcji.

Roboty było dużo, gdyż mądry i wielce czcigodny Hu-Liang uważał, że chłopiec pochodzący ze stanu uczonych, który wyszedł już z pod matczynego fartucha nie powinien nic innego robić, tylko uczyć się przez cały dzień. Tak sądzili starzy i przodkowie, do których co wieczór się modlił i dlatego tak musiało być dobrze. Albowiem rodzice są zawsze mądrzejsi od dzieci, a starzy posiadają nieskończenie więcej rozumu niż od nich młodsi. Tak było w świecie, tak teraz jest i tak zawsze będzie.

Ponieważ zaś Chińczycy zawsze trzymają się wiernie tych zasad, więc na tem polega ich wyższość nad białymi barbarzyńcami ze wschodu, którzy pomimo czarów i czarnoksięskich sztuczek nigdy nie potrafią osiągnąć prawdziwej wiedzy.

Czyż to jaki ich poeta napisał kilkadziesiąt tysięcy utworów o posłuchu starszych i czterech cnotach kobiety? Albo czyż był jakiś prorok czy uczony większy od Kung-Tse, wielkiego filozofa? A więc na czemże miałaby polegać

ta ich mądrość ?

Tylko Czu-Li myślami błąkał się poza wąskim paskiem horyzontu i gdy mu pewnego razu Hu-Liang czytał poetyczne dzieje zmagania się Wielkiego Smoka z Bogiem Słońca, wiersze bardziej jeszcze naiwne w treści, niż europejski Homer, a chociaż to dzieło w głębi duszy nikomu się nie podobało, to jednak zdają się niem zachwycać wszyscy, gdyż przed kilku tysiącami lat uznane zostało za arcydzieło literatury.

A gdy pewnego razu, gdy Hu-Liang czytał wzniosłe wiersze, Czu-Li zapytał, czy jest prawdą, co mówią ludzie, że zamorscy barbarzyńcy potrafią na wymyślnej maszynie wzlatywać w chmury, tak jak święty Smok, albo Złoty Tygrys, mędrzec odpowiedział mu, że uczeń nie powinien myśleć o czem innem niż nauka, że niegrzecznością jest przerywanie w pracy nauczycielowi, malcy nie powinni wogóle myśleć, tylko pamiętać to, czego ich nauczyciel z takim mozołem uczy.

Istotnie, mały Czu-Li bardzo dużo skorzystał z nauki u Hu-Lianga, ale też przez wiele lat nie dowiedział się, czy ludzie potrafią latać, czy nie.

Cztery razy jeszcze minęło upalne lato i mroźna zima, nim Hu-Liang, mądry nauczyciel poprowadził ucznia do jeszcze mądrzejszego Hao-Penga, który prowadził szkołę w sławnem mieście Tung-Czcu.

Nowy nauczyciel miał lat 70, wyglądał na 80-letniego, udawał 90-latka, a znajomi zapytywali go uprzejmie, kiedy obchodził 100-ną rocznicę urodzin.

Gdy Czu-Li przyszedł do szkoły Hao-Penga, przeszedł prawdziwe tortury. Koledzy ciągnęli go za długi warkocz, albo wyśmiewali. Przez kilka tygodni było to ich najmilszą rozrywką. Okazało się to jednak tylko dziecinną zabawką wobec tego, co przeszedł na lekcji. Hao-Peng uważał, że jedynie nauka na pamięć jest coś warta, więc kazał swym uczniom wchłaniać bezmyślnie wersety, których jedyną zaletą był ich wiek. Więc też biedni uczniowie potrafili z pamięci napisać jakiś utwór z przed 4-ech tysięcy lat, a nie umieli przeczytać napisu nad sklepem szewca, lub stolarza. Jednej tylko praktycznej rzeczy uczy się uczeń w chińskiej szkole, rzeczy, której żaden punkt programu nauki nie obejmuje, a mianowicie sztuki kłamania, tak niezmiernie potrzebnej w życiu.

Każdy z uczniów Hao-Penga potrafił bez drgnienia ust /to dopiero sztuka bez drgnienia ust schlebiać przyp. zec./ i powiek schlebiać nauczycielowi, a w duszy życzyć mu, żeby go wydusiły zarazy świata, udawać zainteresowanych nauką, a na palcach liczyć czas /jak można na palcach liczyć czas ? przyp. zec./ do końca lekcji .

Niestety Czu-Li nie był dostatecznie wykształcony w sztuce kłamania, toteż padał ofiarą zarówno przy egzaminach, jak i przy zabawach.

Pewnego razu przezacny Hao-Peng zapytał go o coś, czego on nie wiedział. Wysilił cały swój umysł, lecz nic sobie przypomnieć nie zdołał. Wtedy profesor nazwał go darmozjadem, a koledzy widzący wyszczerzone w uśmiechu jego pozostałe dwa zęby domyślili się, że chciał powiedzieć jakiś żart i wybuchnęli natychmiast śmiechem nietyle szczerym, ile wrzaskliwym. W chińskiej szkole klasa zawsze się śmieje, gdy nauczyciel mówi żart, bez względu na zawarty, czy raczej niezawarty w nim dowcip.

Grzechem jest bowiem, gdy profesor się zaczyna śmiać, żeby klasa mu nie wtórowała, gdyż wtedy się z nim sprzecza, a kłótnia ze starszymi jest zbrodnią.

Ale biednemu Czu-Li zebrało się na płacz. Bardzo mądry był Hu-Liang, wiedząc, że od rozsądnych uwag więcej nauczy sztubaka giętki kij bambusowy, ale jeszcze mędrszym był Hao-Peng, chłostając go biczem śmiechu i pogardy kolegów. Czu-Li ze łzami w swych czarnych oczach poszedł do ławki. Szkoła spełniła swo pierwsze zadanie. Pokazała uczniowi, jak bardzo jest głupi. Ale sposobu rychłego pozbycia się głupoty nie pokazała mu nigdy, bo przecież nie do tego służy chińska szkoła.

/gąss./

H U M O R.

Przyrodnik.

Uczenica: Jak daleko jest pan profesor ze swem dziełem o zwierzętach.?

Profesor: Zatrzymałem się właśnie przed gęsią . . . . . .

G.K.

Nasz hufiec.

Kapitan: Powiedzcie mi Wojciechu, jakie kroki przedsięwzięlibyście, gdyby nieprzyjaciel zaszedł nas z tyłu ?

Wojciech /VIIa/: Długie, panie kapitanie!

Abr.

PRZECZYTAJCIE Z ROZWAGĄ

Fejleton zaczyna się często:Wróciłem zmęczony z...,aż tu:trrr -trrr - trrr.Hallo!Dzwoni redaktor naczelny: Serwus hallo! Potrzebuję na gwałt jakiegoś fejletonu,coś wesołego..rozumiesz?..Napisz coś Danek...w tym rodzaju...rozumiesz...jak to ty...
-Mój Boże!-monologuję fejletonista /w fejletonie naturalnie/-mam napisać humoreskę,a tu...atu.../ i tu następuje/ wesołe wyliczenie.
Otóż my zaczynamy inaczej.My wo - góle jesteśmy oryginalni.Inni robią tak a tak,ale my..my tylko.Zresztą informacji udzieła Redakcja w artykule programowym.
Owo /jak powiada H.Sienkiewicz/dobrowolnie,jak widzicie,pozbyłem się onej grzecznej odskoczni;zostałem tedy bez tematu. Owo rozglądnął się nasz rycerzyk,widzi zacnego Pana Sienkiewicza,i całe grzeczną, bo Pięćdziesiątą rocznicę ukazania się onego cyklu ksiąg zacnych to jest I-szego tomu trylogji. Do osiemnastego roku życia gołowąc i drągal jako pan Nowowiejski zagończyk uchowałem się owo szczęśliwie od onej lektury,w którejś tam klasie czytywałem ja pana Sienkiewicza w usposobieniu wielce "kąsim,kęsim"ale nie mogłem zwalczyć uczucia,że to jednak wielki talent. Aż tu niedawno dziwne jakoweś mnie dewyderjum ogarnęło zdzieł onych jedne na nowo przeczytać.a ledwom parę ino stronnic przeszedł owóż tak mi zerikordja dla męża onego mnie zdjęła ażc mi serce piszczało. Bo posłuchajcie ino waszmościowie!
Oto doszliśmy do rzeczy,przy której nie wiedzieć już zgoła, śmiać się-li, czy też płakaćby należało.Owo,skoro o takich to rebus miserrimis traktujemy zwyczajnym rzeczy biegiem do niewesel szych,a równie ważkich przejść można.
Myślę tu o teatrze.Owo kiedy nam"ślu by panieńskie"ogłoszono,to czułem się jak straszliwy watażka,Tuhajbejowicz, kiedy go na pal wbić miano.

15-sta rocznica niepodległości zmartwychwstania ojczyzny skłania nas do ogłoszenia amnestji,którą niniejszem objęte zostały wszystkie inne pisma wyż wzmiankowanego. Tak to młodzież czci pamięć wielkiego epika - krzyknie ktoś z oburzeniem.Tak się jednak w sercach młodzieży /pewnego odłamu/ jako w brudnym stawku /v.art.wst./odbijają rzeczy szlachetne i wzniosłe.
Jesteśmy,jak z tego widać,najoczywiściej demonami intellektu,nic nie jest dla nas świętem,wszystko wyszydzim i ukłejem żądłem satyry.
Inna rzecz,że humor nasz jest ciężki,niemiecki,który,jak wiadomo różni się od francuskiego,bo tamtem jest wylewny i lekki, a znowu różni się od angielskiego,który jest jak wiadomo - lakoniczny,bo Anglicy mówią mało,zato dużo robią,ale znowu nie robią tak dokładnie jak Szwajcarzy,lecz robią zato solidnie,nie robią jak Niemcy i Amerykanie. Jak więc widzicie czytelnicy - obcowanie z błyskotliwym intellektem autora wszechstronną przynosi korzyść, bowiem jest to człowiek oczytany i może wam wyjaśnić wiele ze spraw ogólnoludzkich.
A oto,kiedy zasiadłem na krześle,kurtyna podniosła się i"jęło się dziać - coś strasznego,coś przeciwnego naturze i człowieczym uczuciom - ból tak niewypowiedziany a straszny,że graniczący niemal z potworną rozkoszą,przeniknął moje jestestwo".-
I owo autor feljetonu "zwarł szczęki, wreszcie jednak nie wytrzymał.Zęby jego wyszczerzyły się okropnie,a z gar - dzieli wydobył się krzyk A..a..a..do krakania kruka podobny".
-Wolno - skomenderował reżyser i wlokła się ona sztuka przez całe 3 godziny, a z nią i męki moje niewypowiedziane.
I skończyła się wreszcie,a mechanicy "pogasili światła,jakgdyby wstydząc - się,że światło oświeca dzieło tak okropne"...
Wydostaliśmy się na ulicę.

W pierwszym numerze znajdują się artykuły tylko członków redakcji.W następnych chcemy zamieszczać także utwory nadesłane,to też prosimy Kolegów o przysyłanie ich w dostatecznej ilości /no i przedewszystkiem jakości/.
Potrzebne są przedewszystkiem humoreski i nowele,zwłaszcza osnute na tle życia szkolnego,wiersze,oraz arty kuły traktujące o kwestjach życia spo łecznego.
Apelujemy tutaj zwłaszcza do klas pierwszych,o których zdolnościach i zamiłowaniu do polskiego wiele słyszeliśmy.

Redakcja prosi kolegów o zwrócenie uwagi na reklamy zamieszczone w tym numerze.Leży to zresztą w Waszym własnym interesie,im więcej bowiem reklamy skutkują,tem więcej firm je zamawia i tem tańsze jest pisemko.Nasza gazetka jest i tak najtańsza ze wszystkich pisemek szkolnych w Polsce i żeby dalej tak niskie ceny utrzymać potrzebuje dużej ilości reklam.

K R O N I K A

Już w pierwszej księdze Genezis Mojżesza znajdujemy zdanie, że na początku był Chaos. Jak więc chociażby z tego widzicie, był on wielkim prorokiem i wcale trafnie przewidział stosunki w naszym Samorządzie.

Teorja Einsteina poucza nas jednak, że wszystko jest przynajmniej na tym świecie względne /z wyjątkiem naturalnie samej teorji Einsteina, która jest bezwzględna/. Otóż względnem między innemi jest także pojęcie początku. Tamten początek był dawno i nie liczy się. Mówmy o początku tego roku.

Więc na początku było słowo. U nas też. Mianowicie na Walnem Zebraniu. Ba, żeby to jedno słowo, ale tu było dużo słów. Powiedziałbym nawet gadaniny. Podobnie zresztą, jak i w tej kronice.

Jak wiemy słowo stało się ciałem: U nas ciałem ustawodawczem i prawodawczem. Tak przynajmniej funkcje Zarządu określa statut.

Głową tego ciała został kol. Krzyżowski. All right /czytaj ołł rajt!. To po angielsku. Przyp. zec./ Szyją został niżej podpisany. Przypomniał mi się tutaj jeden witz z Kurjerka o głowie i szyi, ale go tu nie przytoczę. Ramiona to kol. Pirtrzykowski. I jako sekretarz i jako bokser. Strzeżcie się ramion naszego Samorządu. Sądzę, że kol. Czubak się nie pogniewa, jeśli go nogami nazwę. To symbol – nogi to podstawa, a kto go zna, wie na jak silnych podstawach spoczywa nasz Zarząd. Takiego to niełatwo ruszyć.

–A kol. Cieszyński – zapytacie. Czem zatem jest kol. Cieszyński? – Otóż kol. Cieszyński jest sekretarzem Rady Samorządu /Wolę go nie porównać z żadną pozostałą częścią korpusu, boby się jeszcze obraził, a na zabawie w seminarjum przekonałem się, jak srogą jest jego zemsta./

Przeważnie w Towarzystwach bywa jedno Walne Zebranie rocznie. Wobec tego u nas przez jeden miesiąc było ich 3. Jedno, o którem już wspomniałem, drugie dla ustanowienia szczegółowego programu pracy, trzecie dla uchwalenia nowego statutu. Daj Bóg sił do roboty, to do końca roku pracując w tym tempie, będziemy ich mieli 30. To ci energja, co brachu?!

Zarząd /ten nowy/ Samorządu z zadowoleniem stwierdza, że od wprowadzenia Komisyj porządkowych jest w gimnazjum coraz czyściej. Stwierdzają to także pp. profesorowie.

Nietylko jednak wewnątrz gimnazjum widać skutki pracy nowego Zarządu. Wystarał się on także o zniżki do niektórych kin. Zniżki to bardzo znaczne, dokładnie ich tu nie będę wyliczał, bo 1 strona gazetki kosztuje 20 zł. jak to zresztą w dziale reklamowym możecie wyczytać, a warunki kupna biletów są wypisane na czterech afiszach w różnych punktach gimnazjum. Pytacie – Gdzie one? A kuku! Zresztą, szukajcie a znajdziecie.– Za ukoronowanie /byle tylko nie cierniową koroną/ swej działalności – Zarząd uważa powołanie do życia tej gazetki. Wprawdzie różne ciemne moce, zapomocą równie ciemnych intryg starają się zagasić to światło pracy intelektualnej, ale "nieśmy wysoko oświaty kaganek". Na co zresztą Ministerstwo zwróciło uwagę, umieszczając go na czapkach. Wprawdzie niektóre sfery uważają, że lepiej byłoby pod czapkami, a mianowicie w głowach, ale wszak przysłowia są mądrością narodów, a przysłowie mówi: "Lepszy rydz, niż nic".–

Co do tej gazetki, to wydanie jej było praktycznem zastosowaniem znanej maksymy mickiewiczowskiej: Mierz siły na zamiary, a nie zamiary według sił. Mamy jednak nadzieję, że przy pomocy /forsa Przyp. zec/ p. t. kolegów pomiary nasze nie okażą się mylnemi. Przy tej sposobności przypominam kolegom, że wypożyczanie pisma jest przestępstwem.

Na koniec maleńkie przypomnienie. Czy pamiętacie o uchwalonych wkładkach do Samorządu? Jeżeli nie, to poproście wójtów, żeby wam przypomnieli.

/Jurk./

P. S. Samorząd międzygimnazjalny urządził obchód piet nastolecia odrodzenia Polski. Zdaje się, żem na tym pochodzie widział kilku z kolegów. Jestem z tego bardzo zadowolony /z tego, żem widział, a nie z tego, że kilku/ i sądzę, że na następnej uroczystości, jeżeli Bóg i Pan Minister dadzą wolne, zobaczę was wszystkich.

A N K I E T A

Redakcja prosi p. t. Czytelników o odpowiedź na trzy pytania:

1/ Co mi się w pierwszym numerze Gazetki najbardziej podobało?

2/ Czegobym, będąc na miejscu redaktora nie umieszczał i dlaczego?

3/ Co bym dodał?

Redakcja sądzi, że na tę ankietę odpowiedzą wszyscy Czytelnicy, bo leży to zarówno w interesie redakcji, jak i samych Czytelników.

Odpowiedzi o ile możności należy pisać starannie i dowcipnie, bo lepsze i oryginalniejsze z nich będą w następnych numerach zamieszczone.

Odpowiedzi, jak również i wszelkie nowele, feljetony, czy poezje proszę kierować do skrzynki Gazetki, lub, jeżeli wymagają jakich ustnych komentarzy, do kol. Jurkiewicza. /VIIa/.

H U M O R   S T A R O P O L S K I

Dawniej grano na obojach,na skrzypcach,a teraz grają na ubogich;nie wiemy jak się to udaje,bo te instrumenta zawsze piszczą.

-

Handlów w i n n y c h jest najwięcej,choć ani butelki wina w swej piwnicy nie mają.

-

W Hiszpanji dawniej taki skrupuł panował,że w poście świec łojowych nie palono.

-

W karczmie deszcz lał na konie podróżnego,ten mówi do arendarza: Żydzie czemu nie dasz naprawić dachu ?-.-No - jakże naprawić,kiedy deszcz pada?-.To go napraw,jak będzie pogoda.- Żyd na to:- Wtenczas niepotrzeba.

-

Cała Europa gra teraz w cenzurowanego

-

Dla oszczędzenia świec pewna dama daje w i e c z o r y w południe.

-

Cenzura jest tak ostra,że nią można pióra temperować.

-

Nieprawdaż,zawołał jeden - że rozprawiam jak książka ? - - W istocie - odpowiedziała dama - tylko się każ waćpan oprawić w cielęcą skórkę.

-

Wielka rzecz,że przed pałacem stoi szwajcar,w Szwajcarji przed byle chatką jest ich kilku,a nawet bydło pasą.

Ponieważ nie mówią ożonić się tylko ożenić się,więc nie powinno się też mówić żona,tylko żena;zdaje mi się,że to imię będzie właściwsze,bo w małżeństwie zwykle jest niejaka żena,a przynajmniej mąż musi się żenować,nim jakieś głupstwo zrobi.

-

W Londynie umyślnie zapewne policja błota zamiatać nie każe,ażeby pospólstwo miało czem na nią rzucać;zawsze to miękcej błotem dostać,niż kamieniem.

-

D o n i e s i e n i e.

Wkrótce wznowiona zostanie Rzeczpospolita Babińska;już nic nie brakuje, tylko członków,prezesa i lokalu,a głupstwa zawsze się znajdą.

-

W Poznaniu tylko w zimie w a r t a stoi a innych czasów nie.

Swój do swego.

Kupujcie wszystko w sklepiku szkolnym przy klasie VIIa.Przy zakupnie większej ilości zeszytów na zadania szkolne - rabaty./To nie żart,tylko anons,przyp.zec./

Najtaniej możesz wypożyczyć książki beletrystyczne i popularno-naukowe w "Kółku Książkowem"przy klasie VIIa.Bliższych informacyj udziela kol.Kaczmarek./To także przyp.[illegible]/

-

Najlepiej jest łgarzom powierzyć tajemnicę,bo choć ją wyplotą,to im i tak nikt nie uwierzy.

-

Człowiek piastuje urząd;dobrzeby było, żeby urząd,kiedy podrośnie,na starość piastował człowieka.

Powielano w firmie "MASZYNOPOL" Kraków,Jagiellońska 7.I.p./róg Szewskiej/.